



MICHAŁ BUŁHAKOW

*Psie serce
i Diaboliada*

*Psie serce
i Diaboliada*

MICHAŁ BUŁHAKOW

Psie serce i Diaboliada



Tytuł oryginału: **Соба́чье се́рдце, Дьяво́лиада**

Przekład: **Krzysztof Tur** (*Psie serce*), **Edmund Jezierski** (*Diaboliada*)

Tekst *Diaboliady* na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury
(www.wolnelektury.pl; CC-BY-SA 3.0)

Redakcja: **Anna Willman**

Korekta: **Monika Wróbel**

Opracowanie graficzne: **Agata Mościcka**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracja na okładce: **Anna Jaroń** (główne), Dreamstime.com: © Olga Lepeshkina,
© Homydesign, © Mashakotcur

© Copyright for the Polish edition, cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2021
Warszawa 2021

Zgodnie z etymologią imię i nazwisko autora powinno być transkrybowane jako Michał Bułgakow i taką wersję zastosował w swym przekładzie tłumacz *Psiego serca*. Wydawca zdecydował się jednak na wersję, do jakiej przyzwyczaili się Czytelnicy, zakorzenioną w polszczyźnie i dotychczasowych przekładach. Forma „Bułgakow” została jednak zachowana w przypisach autorstwa tłumacza.



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

ul. Sułkowskiego 2/2

01-602 Warszawa

www.WYDAWNICTWO-SBM.pl

ISBN 978-83-8222-562-4

PSIE SERCE

Przekład: Krzysztof Tur

Rozdział I

Auuuu-hu-hu-hu! O, spójrzcie, spójrzcie na mnie, ja ginę! Zawieja w bramie śpiewa mi modlitwę za konających i ja z nią wyję. Zginąłem, zginąłem! Łotr w brudnym kołpaku – kucharz ze stołówki zdrowego żywienia dla pracowników Centralnej Rady Gospodarki Narodowej – chlusnął na mnie wrzątkiem i oparzył mi lewy bok. Co za łajdak, a niby to proletariusz! Panie Boże mój, jak boli! Wrzątek przenika do kości! I teraz wyję, wyję, ale cóż to pomoże?

Czym mu przeszkadzałem? Czym? Czy obezrę Radę Gospodarki Narodowej, jeśli pogrzebię w śmietniku? Chciwe bydlę. Popatrzcie kiedyś na jego gębę: przecież szersza niż dłuższa. Złodziej z mordą jak naleśnik. Ach, ludzie, ludzie!

W południe kołpak poczęstował mnie wrzątkiem, a teraz ściemniło się, jest chyba czwarta po południu, sądząc po tym, jak czuć cebulą z remizy preczystienskiej straży pożarnej. Strażacy, jak wam wiadomo, jedzą na kolację kaszę. A to najgorsze ze wszystkiego, coś w rodzaju grzybów. Znajome psy z Preczystienki opowiadały, że jakoby na Nieglinnym, w restauracji Bar, jedzą dyżurne danie – grzyby, ostry sos pomidorowy, po trzy ruble siedemdziesiąt pięć kopiejek porcja. To coś dla amatorów – zupełnie jakby lizać kalosze... U-uu-uuu!

Bok boli nie do wytrzymania i dalszy bieg mojej kariery widzę zupełnie wyraźnie: jutro pojawią się wrzody i pytam się, czym będę je leczyć? Latem można machnąć się do Sokolników, tam są specjalne, bardzo dobre zioła, a poza tym można się najeść bezpłatnie obrzynków kiełbasy, obywatele wyrzucają zatłuszczone papiery, nalizesz się. A teraz, zimą, gdzie pójdziesz? Nie tłukli was butem? Tłukli. Dostawaliście cegłą po zebrach? Zakosztowaliście do woli. Wszystkiego doświadczyłem, ze swoim losem się godzę i teraz płaczę nie tylko z fizycznego bólu i głodu, ale dlatego, że mój duch już gaśnie. Gaśnie psi duch!

Oto ciało moje, okaleczone, zbite! Dosyć się nad nim znęcali ludzie. Najgorsze, że jak lunął wrzątkiem, przeciekło pod sierść i przez to mój lewy bok nie ma już żadnej ochrony. I bardzo łatwo mogę złapać zapalenie płuc, a jak je złapię, obywatele, zdechnę z głodu. Przy zapaleniu płuc zaleca się leżeć przy frontowym wejściu pod schodami,

ale kto wtedy zamiast mnie, leżącego nieżonatego psa, będzie biegać po śmietnikach w poszukiwaniu pożywienia? Rzuci mi się na płuca i będę pełzać na brzuchu, osłabnę i byle kto zatłucze mnie pałką na śmierć. A dozorczy z blachami złapią mnie za nogi i wrzucą na furgon...

Najpodlejsi szubrawcy ze wszystkich proletariuszy to dozorczy. Ludzkie odpadki, najniższa kategoria. Nawet kucharze zdarzają się różni. Na przykład świętej pamięci Włas z Preczystienki. Niejednemu uratował życie! Ponieważ w czasie choroby najważniejsze jest złapać jakiś kęs. Bo zdarzało się, jak opowiadały zasiedziały tam psy, że Włas ciśnął kość, a na niej jeszcze mięsa na palec zostało. Światłość mu wiekuista za to, że był naprawdę kimś, nadwornym kucharzem hrabiów Tolstojów, nie z żadnej Rady Zdrowego Żywienia. Co oni tam wyrabiają w tym Zdrowym Żywieniu, to nawet w psiej głowie się nie mieści! Przecież oni, łajdacy, gotują kapuśniak na peklowanym śmierdzącym mięsie, a ci biedacy nic o tym nie wiedzą. Biegają, żrą, chłepczą.

Jakaś tam sekretareczka dostaje według dziewiątej grupy cztery i pół czerwońca¹, no, prawda, że kochanek podaruje jej fildekosowe² pończochy. Ale ile upokorzeń trzeba wycierpieć za te fildekosy! Przybiegnie sekretareczka, przecież za cztery i pół czerwońca nie pójdzie do Baru. Nie wystarcza jej na kino, a kino dla kobiety to jedyna pociecha w życiu. Drży, krzywi się, ale wsuwa. Pomyśleć tylko: czterdzieści kopiejek za dwa dania, a te obydwie dania nawet piętnastu kopiejek niewarte, ponieważ pozostałe dwadzieścia pięć ukradł intendent. A czy ona potrzebuje takiego wyżywienia? Coś ma nie w porządku ze szczytem prawego płuca, kobiecą chorobę na francuskim podłożu, z wypłaty jej potracili, w stołówce nakarmili ją stęchlizną, i oto ona, oto ona! Wbiega do bramy w tych pończochach od kochanka. W nogi zimno, w brzuch zawiewa, ponieważ nie ma sierści, goła skóra, a majtki nosi cieniutkie, taka koronkowa fikcja. Łaszki dla kochanka. Spróbowałaby tylko włożyć flanelowe. Od razu wrzaśnie: „Ależ ty jesteś nieszykowna! Sprzykrzyła mi się moja Matriona, namęczyłem się z flanelowymi majtasami, teraz przyszły moje czasy. Teraz jestem

¹ *czerwoniec* – emitowany wówczas pieniądz o wartości 10 rubli za 1 czerwońca (przyp. tłumacza).

² *fildekos* – rodzaj uszlachetnionej przędzy bawełnianej.

przewodniczącym, a ile nie nakradnę – wszystko, wszystko na kobiece ciała, na szyjki rakowe, na Abrau-Durso! Bo w młodości dosyć się nagiłdowałem, więcej nie zamierzam, a życie pozagrobowe nie istnieje”.

Żał mi jej, żał! Ale samego siebie jeszcze bardziej mi żał. Nie mówię tak z egoizmu, o nie, tylko dlatego, że rzeczywiście nierówne mamy warunki. Jej chociaż w domu jest ciepło, a mnie? A mnie?! Dokąd pójde? Zbity, oparzony, opluty, gdzie się podzieję? Auuu...

– Chodź tu, chodź tu! Szarik, ej, Szarik? Czemu ty skamlesz, biedaku? Co? Kto cię skrzywdził?... Ech...

Sucha jęzda zamieć załomotała bramą i grzmotnęła panienkę po miotłem w ucho. Zadarła jej spódniczkę do kolan, odsłoniła kremowe pończoszki i wąskie pasemko niezbyt starannie wypranej koronkowej bielizny, stłumiła słowa, zawiąła śniegiem psa.

– Mój Boże!... Co za pogoda... Och... I brzuch boli. To przez to solone mięso, przez to mięso! Kiedy to wszystko się skończy?

Panienka rzuciła się do ataku z pochyloną głową, przedarła się za bramę i na ulicy zaczęło nią obracać, szarpać, rzucać, potem zakręciło ją w śnieżnym wirze i panienka znikła.

A pies został w podjeździe i, cierpiąc ból zranionego boku, przycisnął się do zimnego, masywnego muru, zaparło mu dech i twardo postanowił, że nigdzie już stąd nie pójdzie, tutaj, w bramie, zdechnie. Rozpacz go przytłoczyła. W duszy czuł taką gorycz i ból, taką samotność i strach, że drobne jak pryszczyki psie łzy spływały mu z oczu i natychmiast schły. Na poranionym boku sterczały skołtunione zamarzniete kłaki sierści, a pomiędzy nimi prześwitywały złowrogie czerwone plamy oparzeń. Jakże bezmyślni, tępí, okrutni są kucharze.

Nazwała go „Szarik”! Co z niego, u diabła, za Szarik! Szarik to znaczy okrągły, spasiony, głupi, żre owsiankę, syn szczęśliwych rodziców, a on – kosmaty, kościasty i obskubany, wychudzony włóczęga, bezdomny pies... Zresztą, dzięki jej za dobre słowo...

Drzwi jasno oświetlonego sklepu po drugiej stronie ulicy trzasnęły i wyłonił się z nich obywatel. Właśnie obywatel, a nie towarzysz, a nawet najprawdopodobniej pan. Z bliska – najwyraźniej pan. Myślicie, że sądzę po palcie? Bzdura. Teraz nawet bardzo wielu proletariuszy nosi palta. To prawda, że kołnierze nie takie, szkoda gadać, ale mimo wszystko

z daleka można się pomylić. Ale po oczach – tu i z bliska, i z daleka się nie pomylisz. O, oczy to ważna rzecz. Coś jak barometr. Wszystko widać – kto w duszy ma wielką posuchę, kto ni z tego, ni z owego może kopnąć czubkiem buta w zębra, a kto sam się każdego boi. Właśnie tego ostatniego fagasa przyjemnie jest capnąć za łydkę. Boisz się – no to masz. Jeżeli się boisz, to znaczy, że zasługujesz... Wrrr... hau, hau...

Pan pewnie przeciął ulicę w słupie zamieci i wszedł do bramy. Tak, tak, po takim wszystko widać. Taki nie będzie żreć stęchłego mięsa, a jeżeli gdzieś mu coś takiego podadzą, urządzi taką awanturę, do gazety napisze: „Mnie, Filipa Filipowicza, nakarmili świństwem!”.

Oto on, coraz bliżej i bliżej. Ten to je obficie i nie kradnie, ten nie kopnie, ale sam też się nikogo nie boi, a nie boi się dlatego, że zawsze jest syty. To pan zajmujący się pracą umysłową, z kulturalną ostrą bródką i siwymi wąsami, puszystymi i zawadiackimi jak u francuskich rycerzy, ale zamieć niesie od niego paskudny zapach, szpitalny. I zapach cygara.

Co za diabeł, można spytać, zaniósł go do kooperatywy Centrochozu? Już jest obok... Czego szuka? Uuuu... Co mógł kupić w mizerynym sklepiku, mało mu Ochotnego Riadu? Co to takiego? Kiel-ba-sa. Szanowny panie, gdybyś pan wiedział, z czego robią tę kielbasę, nie podchodziłbyś do tego sklepu. Niech pan ją odda mnie!

Pies zebrał resztkę sił i jak nieprzytomny wypełznął z bramy na chodnik. Zamieć huknęła mu nad głową jak z karabinu, szarpnęła wielkimi literami płóciennego plakatu:

CZY ODMŁODZENIE JEST MOŻLIWE?

Naturalnie, że jest możliwe! Zapach mnie odmłodził, podźwignął mnie z brzucha, palącymi falami ścisnął pusty od dwóch dni żołądek, ten zapach przewyciężył szpital, niebiański zapach mielonej koniny z czosnkiem i pieprzem. Czuję to, wiem, że w prawej kieszeni jego szuby jest kielbasa. Już stoi nade mną. O, mój władco! Spójrz na mnie, ja umieram! Lokajsko jest nasza dusza, podły jest nasz los!

Pies pełznął na brzuchu jak wąż, zalewając się łzami.

Niech pan zwróci uwagę na robotę kucharza. Ale przecież za nic pan mi jej nie da. Och, bardzo dobrze znam bogatych ludzi! Ale właściwie po co ona panu? Po co panu zgniła konina? Nigdzie więcej nie

dostanie pan takiej trucizny jak w Mosselpromie. A pan dzisiaj jadł śniadanie, pan jest znakomitością na światową skalę dzięki męskim gruczołom płciowym... Uuuu... Co to się wyrabia na bożym świecie? Widać na umieranie jeszcze za wcześnie, a rozpacz to chyba naprawdę grzech? Lizać mu ręce, nic więcej nie pozostaje.

Zagadkowy jegomość pochylił się nad psem, błysnął złotymi obwódkami oczu i wyciągnął z prawej kieszeni białe podłużne zawiniątko. Nie zdejmując brązowych rękawiczek, rozwinął papier, który natychmiast porwała zamieć, i odłamał kawałek kielbasy zwanej specjalną krakowską. I ten kawałek – psu! O, wielkoduszna osobo! Uuuu...

– Fiu, fiu – zagwizdał pan i dorzucił surowym tonem: – Masz! Szarik, Szarik!

Znowu Szarik. Ochrcili! Ale nazywajcie sobie jak chcecie. Za taki niebywały pański uczynek...

Pies momentalnie obdarł skórę, wgrzył się z łkaniem w krakowską i zeżał ją w mgnieniu oka. Zadławił się przy tym kielbasą i śniegiem do łez, ponieważ z łapczywości omal nie połknął sznurka. Jeszcze, jeszcze, liżę panu rękę. Całuję spodnie, mój dobroczyńco!

– Na razie wystarczy... – mówił pan urywanym głosem, jakby wydawał rozkazy. Pochylił się nad Szarikiem, zaglądając mu badawczo w oczy, i niespodziewanie przeciągnął pieszczotliwie i intymnie ręką w rękawicze po brzuchu Szarika.

– Aha, samiec – powiedział znacząco. – Nie ma obroży, to znakomicie, ciebie mi właśnie trzeba. Chodź ze mną. – Pstryknął palcami. – Fiu, fiu!

Isć za panem? Ależ na koniec świata, może pan mnie kopać swoimi filcowymi butami w pysk, słowa nie powiem.

Na całej Preczystience świeciły latarnie. Bok niezdolnie bolał, ale Szarik chwilami o nim zapominał, pochłonięty jedną tylko myślą, żeby w tłumie nie stracić z oczu cudownego zjawiska w szubie i jakimś sposobem wyrazić mu miłość i oddanie. I na przestrzeni od Preczystienki do zaułka Obuchowskiego wyraził ją ze siedem razy. Koło zaułka Martwego pocałował bucik, torując drogę, tak nastraszył dzikim ujadaniem jakąś damę, że usiadła na słupku, ze dwa razy zawył, żeby podtrzymać litość dla siebie.

Jakiś parszywy kot włóczęga, podrabiany na syberyjskiego, wynurzył się zza rynny i mimo zawiei zwąchał krakowską. Świat zniknął sprzed oczu Szarika na myśl, że bogaty dziwak zbierający po bramach poranione psy nie daj Boże i tego złodzieja zabierze ze sobą i trzeba będzie się dzielić mosselpromowskim wyrobem. Dlatego tak kłapnęła zębami na kota, że wdrapał się on po rynnie na pierwsze piętro, z sykiem podobnym do syczenia dziurawego szlauchu. Wrrr... hau... won! Nie starczy Mosselpromu dla całej halastry włóczącej się po Preczystience!

Pan docenił oddanie i przed samą siedzibą straży pożarnej, koło okienka, z którego słychać było przyjemne pomruki waltorni, nagrodził psa drugim kęskiem, nieco mniejszym, jakieś pięć łutów. Ech, dziwak. On mnie tak wabi. Nie martw się, ja sam nigdzie nie ucieknę. Będę iść za panem, gdzie tylko pan każe.

– Fiu, fiu, fiu! Tutaj!

Na Obuchowski? Bardzo proszę. Świetnie znam ten zaułek.

– Fiu, fiu!

Tutaj? Z przyjem... O nie! Przepraszam. Nie. Tu jest portier. A nie gorszego nie ma na świecie niż to. O wiele niebezpieczniejszy od dozorcycy. Gatunek absolutnie nienawistny. Wredniejszy od kotów. Oprawca z galonami.

– No, nie bój się, chodź.

– Kłaniam się, Filipie Filipowiczu.

– Dzień dobry, Fiodorze.

To jest ktoś! Boże mój, na kogoś ty mnie rzuciła, psia moja dolo! Co to za persona, która może wprowadzać psy z ulicy koło portiera do domu kooperatywy mieszkaniowej? Patrzcie tylko, ten łajdak – ani piśnie, ani się nie ruszy! Prawda, że oczy ma ponure, ale w ogóle patrzy obojętnie spod otoku ze złotymi galonami. Jakby tak miało być. Szanuje, moi panowie, ach, jak szanuje! No, a ja z nim i za nim. I co, zatkało? A figa! Capnąć by go za tę masykarną proletariacką nogę. Za wszystkie prześladowania twoich koleżków. Ile razy tłukłeś mnie szczotką po pysku, co?

– Chodź, chodź.

Rozumiemy, rozumiemy, proszę się nie niepokoić. Gdzie pan, tam ja. Niech mi pan tylko wskaże drogę, a ja już nie zostanę w tyle, mimo rozpaczliwego stanu mojego boku.

Ze schodów w dół:

– Listów do mnie nie było, Fiodorze?

Z dołu na schody, z uszanowaniem:

– Nie było, Filipie Filipowiczu. – W ślad za tym poufnie półgłosem: – A do mieszkania pod trójką dokwaterowali towarzyszy lokatorów.

Godny psi filantrop odwrócił się nagle na stopniu i, przechylając się przez poręcz, spytał z przerażeniem:

– No i co?

Jego oczy zrobiły się okrągłe, a wąsy stanęły dęba.

Portier zadarł z dołu głowę, przyłożył dłoń do ust i potwierdził:

– Właśnie tak. Całe cztery sztuki.

– Mój Boże! Wyobrażam sobie, co teraz będzie w mieszkaniu.

A oni co na to?

– A nic!

– A Fiodor Pawłowicz?

– Pojechali po parawany i cegły. Będą stawiać przepierzenia.

– Diabli wiedzą, co się tu dzieje!

– Do wszystkich mieszkań będą dokwaterowywać, Filipie Filipowiczu, oprócz pańskiego. Teraz było zebranie, podjęli uchwałę, pogonili stary zarząd, wybrali nowy.

– Co tu się wyrabia! Aj, aj, aj. Fiu, fiu...

Już idę, pędzę. Raczy pan zauważyć, że bok daje o sobie znać. Pozwoli pan polizać bućki.

Galon portiera zniknął na dole. Na marmurowym podeście powiało ciepłem z rur, jeszcze raz skręcili i oto już wysoki parter.

Rozdział II

Zupełnie nie ma powodu, żeby uczyć się czytać, skoro mięso i tak pachnie na wiorstę. Niemniej jednak, jeżeli mieszkacie w Moskwie i macie w głowie trochę rozumu, chcąc nie chcąc nauczycie się czytać, do tego bez żadnych kursów. Spośród czterdziestu tysięcy moskiewskich psów chyba tylko jakiś kompletny idiota nie potrafi ułożyć z liter słowa „kielbasa”.

Szarik zaczął się uczyć na kolorach. Kiedy tylko skończył cztery miesiące, w całej Moskwie wywieszono zielono-niebieskie szyldy z napisem „MSPO. Handel mięsny”. Powtarzamy, że to i tak zbędne, ponieważ mięso się czuje. Ale raz nastąpiła pomyłka: kierując się według jadowicie niebieskawego koloru, Szarik, którego powonienie stłumił benzynowym dymem silnik, zamiast do mięsnego włądował się do sklepu z akcesoriami elektrycznymi braci Gołub na ulicy Miasnickiej. Tam u braci skosztował kabla, który bije na głowę nawet dorożkarski bat. Ten doniosły moment należy uważać za początek szarikowej edukacji. Już na chodniku, tuż obok, Szarik zaczął rozumieć, że „niebieski” nie zawsze oznacza „mięsny”. Kuląc między tylnymi łapami ogon od palącego bólu, przypomniał sobie, że na wszystkich mięsnych sklepach znajduje się pierwszy od lewej złoty albo rudy bazgroł, podobny do sanek – „M”.

Dalej poszło jeszcze pomyślniej. „A” nauczył się w Centrali Rybnej na rogu Mochowej, a potem od razu „N” (łatwiej było mu podbiec do słowa „rybna” od ogona, ponieważ na początku słowa stał milicjant).

Kaflowe kwadraciki, którymi oblicowane były narożne domy w Moskwie, zawsze i niezawodnie oznaczały „S-e-r”. Czarny kran od samowara rozpoczynający słowo oznaczał byłego właściciela Cziczki-na, góry holenderskiego czerwonego sera, bestie-ekspedientów nie-nawidzących psów, trociny na podłodze i paskudny, okropnie cuchnący ser backstein.

Jeżeli grano na harmonii i pachniało parówkami, pierwsze litery na białych plakatach nadzwyczaj sprawnie układały się w słowo „nie-przycz...”, co oznaczało: „nieprzyzwoitych wyrazów nie używać, napiwków nie dawać”. Czasami wybuchały tu jak tornado bójki, ludzi bili pięścią po mordzie, w rzadkich przypadkach – natomiast psy stale – ścierkami albo butami.

Jeżeli w oknach wisiały nieświeże wędzone szynki i leżały mandarynki... hau, hau... ga... garmazierka. Jeżeli ciemne butelki z mętną cieczą... Wu-i-wi-en-a... wina, dawniej Bracia Jelisiejew...

Nieznamy jegomość, który przyciągnął psa pod drzwi swojego wytwornego mieszkania na wysokim parterze, zadzwonił, a pies natychmiast podniósł oczy na dużą czarną tabliczkę ze złotymi literami,